

# Jan Pudełek

---

## W Adiutanturze Generalnej Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza

---

Niepodległość i Pamięć 11/1 (20), 227-244

---

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan Pudełek

## W Adiutanturze Generalnej Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza\*

### 1. W Belwederze

Rozkazem telegraficznym Generalnego Adiutanta Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, majora Tadeusza Piskora zostałem przydzielony z dn. 1 stycznia 1920 r. do służby w Adiutanturze Generalnej.

Serdecznie i hucznie pożegnany przez kolegów Batalionu Zapasowego I p. p. Leg. w Jabłonie, w dniu 2 stycznia meldowałem się w Belwederze u majora Piskora, który przeznaczył mnie do służby w Kancelarii Wojskowej Naczelnika Państwa na miejsce, opróżnione przez odejście Wyszyńskiego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Szefem Kancelarii był kapitan Aleksander Rutkowski, ostatni adiutant VI baonu I Brygady Leg. Pol.

Na czele Adiutantury stał, jak już wspomniałem, Generalny Adiutant, wówczas mjr. Tadeusz Piskor, a po jego przejściu na stanowisko Szefa Oddziału III (Operacyjnego) w Naczelnym Dowództwie – ppłk. Bolesław Wieniawa Długoszowski. Podlegały mu:

1) Kancelaria Wojskowa w składzie oficerów: kpt. Aleksander Rutkowski, ppor. Henryk Kawecki i ja, pracowniczkami: Mija Pęczkowska i Zofia Maresiówna oraz goniec,

2) Adiutantura Przyboczna: ppłk. Wieniawa Długoszowski, mjr. Stanisław Radziwiłł, rtm. Jerzy Potocki, kpt. Stanisław Łepkowski, rtm. Leon Kniaziółucki, por. Czesław Świrski, por. Tadeusz Kobylański, jako adiutanci, kpt. Andrzej Meyer, por. Janusz Olszamowski, por. Czesław Kadenacy, a później brat jego Bolesław i ppor. Michał Mościcki, oficerowie ordynansowi,

3) Referat Prasowy z majorem Drem Kazimierzem Świtalskim,

4) Referat weryfikacji oficerskiej krzyża *Virtuti Militari* z mjr. Adolfem Maciejszą, ppor. Patrycym Dziurzyńskim,

5) Referat odznaki I Brygady – kpt. Andrzej Nałęcz Korzeniowski,

6) Oficer do zleceń: mjr. Adam Gad-Dobrodzicki,

7) Lekarz Przyboczny: kpt. Dr Eugeniusz Piestrzyński,

8) Kapelan Przyboczny: ks. Plewko-Plewczyński,

9) Główna Kwatera z kpt. Kazimierzem Polkowskim, jako komendantem i ppor. Ludomirem Bramańskim, jako adiutantem, a później por. Kazimierzem Danielkiewiczem.

---

\* Przedruk cz. III książki Jana Pudełek, *W Drużynie Komendanta. Ze wspomnień żołnierza I Brygady i oficera Adiutantury Generalnej Naczelnika Państwa (1914-1921)*, Warszawa 1938.

W skład Kwatery wchodziła kompania przyboczna z por. por. Włodzimierzem Mozołowskim, Adamem Nebelskim i Zygmuntem Grabowskim, szwadron przyboczny z rtm. Edwardem Markiewiczem, por. Adamem Radomyskim i por. Adamem Michalewskim, oficer administracyjny por. Emil Jerzy Czerniawski i oficer gospodarczy por. Rudolf Małochleb.

Odrębną jednostkę organizacyjną, niezależną od Adiutantury Generalnej, stanowiła Kancelaria Cywilna z Szefem Stanisławem Carem i jego zastępcą Drem Antonim Chmurskim.

Urzędowanie w Kancelarii Wojskowej, jak w ogóle i w innych biurach, przystosowane do normalnego rozkładu dnia Naczelnika Państwa, rozpoczynało się o godz. 10-tej i trwało do godz. 18-tej z przerwą dwugodzinną na obiad: od godz. 14 do 16.

Skromny podporucznik, żołnierz I Brygady, wychowany w prymitywnych warunkach frontowych i skromnych batalionu zapasowego, poczułem się początkowo oniesmielony blaskiem i przepychem nowego środowiska.

Pierwszego zaraz dnia mego urzędowania otrzymuję tuż przed obiadem rozkaz przypięcia szabli. Rutkowski informuje mnie, że będę przedstawiony Naczelnikowi Państwa. W nędznym mundurze z zielonego drelichu (materiał wojenny, kiepskiego gatunku, miął się szybko i kurczył), stawilem się w pokoju stołowym. Z tremą i zażenowaniem oczekiwałem wejścia Naczelnika Państwa. W chwili Jego ukazania się w pokoju zameldował mój przydział do Adiutantury dyżurny adiutant, por. Kobyłański, a ja wyprostowany wyrzuciłem z siebie jednym tchem meldunek:

– Panie Naczelniku! Ppor. P. przedstawia się posłusznie i melduje swój przydział do Adiutantury Generalnej.

– Bardzo mi przyjemnie! – z miłym na to uśmiechem Komendant i uprzejmie podaje rękę na powitanie. Zajmuje następnie miejsce przy stole, a za Nim wszyscy oficerowie. Rozpoczął się obiad i rozmowa. Moje podniecenie, wywołane specjalnie uroczystą dla żołnierza I Brygady chwilą – uściśnienia dłoni Komendanta, powoli mija. – Na I-szym piętrze pałacu belwederskiego mieściły się pokoje Naczelnika Państwa: konferencyjny, przyjęć, gabinet i sypialny. W tych apartamentach przyjmował Naczelnik Państwa swych interesantów i postów zagranicznych, których do Belwederu „dostawiał” gen. Jacyna. Parter zajmowały biura Adiutantury i Kancelarii Cywilnej. Z przedśionka pałacu prowadziły do pokoi Naczelnika Państwa schody, u których podstawy pełnili stale do godz. 9 wieczorem służbę dwaj ułani ze szwadronu przybocznego. Przed niepowołanym krzyżowali swe szable i zagradzali nimi wejście na górę. Zdarzyło się to między innymi jednemu świeżo mianowanemu premierowi, o co się mocno sierzdził. Drugie schody, którymi w 1830 r. uciekał W. Ks. Konstanty, łączyły I piętro z pokojem sąsiadującym z adiutanturą przyboczną. Mieszkania oficerów mieściły się w t. zw. oficynach królewskich, obok pałacu łażeniowskiego.

Tak obiad, jak i kolację jadaliliśmy wspólnie z Komendantem. Stołowy mieścił się w środkowym pokoju frontowym (od ogrodu), na parterze, pod kolumnadą. Przy stole, ustawionym wzdłuż pokoju, równoległe do frontu pałacu, zajmował Komendant środkowe miejsce plecami do okien. Z chwilą gdy zjawiał się Komendant, wszyscy zajmowali miejsca i natychmiast podawano zupe. Od tej chwili aż do czarnej kawy, istniał zwyczaj, nie wolno było opowiadać dwuznacznych dowcipów i kawałów. Przekraczający ten zwyczaj, wpłacali po 2 mk kary za każdy kawał na specjalny fundusz, którego przeznaczenia obecnie nie pomnę. Zdarzało się, że niektórzy z kolegów opłacali z góry karę w ryczałtowej kwocie 100 mk i uważali, że bez kontroli mogą rozpuszczać języki. Ilekroć przytrafiło się Komendantowi powiedzieć coś niecenzuralnego,

karę za Niego opłacać musiał siostrzeniec, Czesiek Kadenacy. Działo się to oczywiście z pogwałceniem wszelkich praw zwyczajem uświęconych, że normalnie wuj płaci za siostrzeńca. Niestety, Wuj nigdy pieniędzy nie miał i nie znał się na ich wartości.

Ten brak zainteresowania ze strony Komendanta dla mamony stwarzał sytuację, że po wyczerpaniu funduszu dyspozycyjnego na różne ochronki i uniwersytety, szły na podobne cele pieniądze z Jego pensji. Skarb Komendanta wymagał gwałtownie sprężystego nadzoru, bo groziło mu kompletne załamanie. Krachowi zapobiegła, na szczęście, kuratela roztoczona nad pensją komendanta i pieczętowanie wykonywana, o ile mnie pamięć nie myli, przez kpt. Rutkowskiego i kpt. d-ra Piestrzyńskiego.

Zebrany i wręczony przez specjalny komitet Naczelnikowi Państwa fundusz, jako Dar Narodowy dla Niego, przekazał Komendant w dniach ofensywy bolszewickiej na fundusz obrony narodowej. Delegowany przez Szefa Kancelarii Wojskowej, kpt. A. Rutkowskiego, zawiozłem czek na zebrany fundusz do Ministerstwa Spraw Wojskowych i wręczyłem go ówczesnemu Ministrowi, gen. Leśniewskiemu w pałacu „Pod Blachą”.

Zastawa stołowa, znaczone literami (po rosyjsku) „M. II.”, co miało oznaczać: Mikołaj II, przypominała niedawno minione, a jakże inne czasy. Do stołu podawali dwaj lokaje, z których jeden, ze stylowymi bokobrodami, staruszek Rozalski pamiętał ze swej służby w Belwederze jeszcze Hurkę. Wprawdzie nigdy z tym się nie zdradził, niemniej jednak dawało się wyczuć, że mocno był zgorszony demokratycznymi zwyczajami Naczelnika Państwa Polskiego i Jego otoczenia. Nie przeszkadzało mu to jednak być patriotą i synów swych wysłać do wojska polskiego.

W czasie obiadu toczy się zwykła, o ile nie było specjalnych gości, niefrasobliwa rozmowa na najrozmaitsze tematy. Były podnoszone sprawy poważne, były też krotoczwilne i wesole.

Opowiadał pewnego razu Komendant o tym, jak jeden z dygnitarzy państwowych prosił Go, przy okazji składania raportu z czynności, o wymierzenie kary za to, że wbrew interesom państwowym sprowadził sól z sąsiedniego państwa z pominięciem soli polskiej. Dla pozyskania sobie ludności terytorium pieczy jego powierzonego, na którym przewidziane było przeprowadzenie plebiscytu, dygnitarz wspomniany żądał przez czas dłuższy dostarczenia soli od władz polskich. A gdy te wskutek przewlekłej biurokracji nie mogły jej dość szybko dostarczyć, zmuszony był sprowadzić ją z innego państwa. Na temat tego zdarzenia wywiązała się rozmowa, w której kpt. Nałęcz-Korzeniowski w formie delikatnej zauważył:

– Bałagan ten skończyłby się szybko, gdyby Komendant chciał ogłosić dyktaturę i zmusić organy państwowe do sprężystego i szybkiego działania.

Komendant zmarszczył groźnie brwi i rzucił gniewnie:

– Panom oficerom, jak widzę, zachciewa się być kacykami. Nie! Póki życia, będę się przed tym bronił!

Wśród oficerów Adiutantury reprezentowane były wszystkie dzielnice Zjednoczonej Polski. Dużo stąd było okazji przy obiedzie do „nabierania się” wzajemnego na temat modnych wówczas różnic międzydzielnicowych. Komendant chętnie słuchał wzajemnych wypadów i żartów, sam w tej szermierce słów nie biorąc udziału. Gdy jednakże z kolei wypadło dobrać się do Wilna lub Wileńszczyzny, Komendant tracił wyraźnie humor i przestawał się śmiać. Potwierdzało się wówczas, jak wielokrotnie przy innych okazjach, Jego powiedzenie: Mam trzy słabości w życiu: Wilno, dzieci i papierosy!

Przy takich i innych rozmowach obiad i kolacja szybko mijały. Komendant prędko wstawał od stołu i powracał do pracy.

W czasie posiłku nie używano żadnego alkoholu. Komendant tego nie lubił. Na alkohol miał specjalnie tylko wówczas ochotę, gdy, jak opowiadał, był obecnym na odczycie przeciwalkoholowym i prelegent przedstawiał zgubne skutki używania trunków. O ile ktoś z nas chciał napić się wódki, czynił to w zacisznym kąciku p. Zakrzewskiej, prowadzącej wówczas kuchnię belwederską.

Raz na 7-10 dni wypadła na oficerów Adiutantury Generalnej z wyjątkiem adiutantury przyboocznej i Kwatery Głównej służba dyżurnego adiutanta w porze nocnej w godzinach: 22 – 10.

O godz. 9 wieczorem zamykana była brama wjazdowa i do pałacu wpuszczane były od tej godziny jedynie osoby uprzednio awizowane lub te, których audiencja wyznaczona była na późne godziny wieczorne. O zjawiającej się przed bramą osobie dawał z budki wartowniczej sygnał dzwonkowy wartownik z kompanii przyboocznej do dyżurnego podoficera, a ten z kolei meldował o tym dyżurnemu adiutantowi, który ewentualnie po sprawdzeniu wydawał polecenie otworzenia bramy i wpuszczenia interesanta. O ile w godzinie, wyznaczonej na audiencję, był ktoś jeszcze u Komendanta z poprzednio meldowanych, interesant zmuszony był czekać na swą kolej w poczekalni na dole, dopóki nie został przez dyżurnego adiutanta zameldowany wprowadzony do Naczelnika Państwa. W czasie długiego niekiedy oczekiwania, w nocnej ciszy, wywiązywała się między interesantami a adiutantem rozmowa.

W czerwcu 1920 r., po nominacji na Prezesa Rady Ministrów zjawił się w czasie mego dyżuru, w późnej godzinie wieczorowej, na audiencję P. Władysław Grabski. Zmuszony był przez dłuższą chwilę czekać, ponieważ Naczelnik Państwa był zajęty. Wręczyłem P. Premierowi najświeższe komunikaty wojenne do przejrzania, porozmawialiśmy o sytuacji na froncie i, zdawało się, wyczerpaliśmy temat do rozmowy, gdy P. Władysław Grabski zagadnął:

– Jak należy tytułować Naczelnika Państwa przy okazji zwracania się do niego? Jakie istnieją w tym względzie zwyczaje?

– Istotnie, odpowiadam, pytanie bardzo na czasie, bo sposobów zwracania się do Naczelnika Państwa jest stosunkowo dużo. Ustalonego jeszcze nie ma. Mówi się: Komendancie, Obywatelu Komendancie, Panie Komendancie, Obywatelu Naczelniku i Panie Naczelniku, zależnie od tego, kto do Niego się zwraca. Dawni podkomendni i żołnierze najchętniej zwracają się do Naczelnika Państwa w formie od dawna używanej, inni w oficjalny sposób, odpowiadający obecnemu stanowisku. Najczęściej jednakże, o ile się orientuję, używanym tytułem jest forma: Panie Komendancie. Wybór, tytułów, jak Pan Premier może zauważyć, jest stosunkowo duży i jednym z nich można śmiało dysponować.

O ile pamiętam, P. Premier Grabski uznał za najbardziej odpowiednią formę: Panie Komendancie.

Audiencje trwały przeważnie do godz. 23-ciej, a niekiedy i dłużej. Te „nocne roszaków rozmowy” kończył najczęściej gen. Sosnkowski, którego wizyty przeciągały się niejednokrotnie do godz. 1-szej. Wyjątkowo tylko Komendant był wolny wcześniej i mógł Sobie pozwolić na pasjansa.

Od chwili gdy Komendant ułożył się do snu, służba dyżurnego adiutanta ograniczała się do czuwania nad bezpieczeństwem pałacu, meldowania się u Komendanta na wezwanie dzwonkiem oraz odbierania względnie nadawania ewentualnych depeusz za pomocą aparatu Hughes'a, który był zainstalowany w końcowym pokoju lewego skrzydła pałacu. Nad ranem zdarzały się prośby o ulaskawienie skazanych przez sądy na karę śmierci. Na zasadzie danych z okresu mych dyżurów mogę śmiało twierdzić,

że nie było wypadku, by Naczelnik Państwa ułaskawił kogokolwiek skazanego za kradzież dobra państwowego. W każdym innym wypadku był Komendant względniejszy i po zreferowaniu Mu sprawy niejednokrotnie zgadzał się na ułaskawienie, gdy tylko jakiegokolwiek okoliczności uznał za łagodzące.

Normalny tok pracy Komendanta nie rzadko bywał zakłócany. W początkach 1920 r., gdy bolszewicy zaofiarowali pokój i wstępne z nimi rokowania rozbiły się o miejsce pertraktacyj pokojowych (Borysów), pamiętam, Komendant przez trzy dni i noc z rządu nie zmrucił oka, konferując często z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych, p. Stanisławem Patkiem, oraz pracując permanentnie.

Posiedzenie Rady Obrony Państwa, na którym Komendant postawił kwestię zaufania do Swojej osoby, jako Naczelnego Wodza, rozpoczęte o godz. 18-ej z krótką przerwą na kolację, przeciągnęło się do godz. 6-tej rano dnia następnego. Jako dyżurny tej nocy adiutant odbierałem alarmujące wiadomości i meldunki z frontu o zagrożeniu przez bolszewików Wilna. Niektóre z nich należało bez zwłoki przedstawić Naczelnemu Wodzowi do decyzji. Gdy pod drzwiami, za którymi odbywały się obrady, stoję i waham się chwilę: wejść i doręczyć je w trakcie posiedzenia, czy zaczekać, gdy męcę się nad rozstrzygnięciem pytania, co ważniejsze: obrady R. O. P., czy wydanie dyspozycji dla oddziałów frontowych, sam Komendant wybawia mnie z kłopotu. Drzwi od sali narad się otwierają, wychodzi Komendant, a za Nim wszyscy oficerowie, obecni na posiedzeniu, by dać możność reszcie zebranych zastanowić się nad sprawą zaufania. W czasie tej kilkuminutowej przerwy wręczyłem Komendantowi depesze.

Spoczynek nocny Komendanta trwał normalnie do godz. 10-tej rano. Dzień pracy rozpoczął się o godz. 10.30 raportem prasowym majora Świtalskiego i trwał już z krótką przerwą obiadową do późniejszych, jak wyżej zaznaczyłem, nieraz godzin nocnych.

Program dnia ulegał zmianie radykalnej w razie wyjazdu Komendanta na front lub jakiejś uroczystości.

Taką uroczystością, nie tyle organizowaną, ile samorzutną, były imieniny Komendanta w 1920 r. (od 1921 r. Komendant chętnie na imieniny Swoje wyjeżdżał z Warszawy). O godz. 10 rano wszyscy oficerowie Adiutantury z Generalnym Adiutantem, mjr. Piskorem na czele, odświętnie ubrani, przy szablach, złożyli przez usta swego Szefa życzenia Komendantowi. A później urzędnicy Kancelarii Cywilnej, urozyste nabożeństwo w cerkwi na Placu Saskim i znowu życzenia od rządu, dyplomacji i dzieci. Ustawione w szpalerze wzdłuż wszystkich pokojów frontowych, niektóre z laurkami w rączkach, były dzieci najserdeczniej przez Solenizanta przyjmowane. Kroczył wśród szczebiocącej Mu życzenia gromadki, niektóre podnosił i serdecznie całował, do innych przemawiał, a wszystkie obdarzał po kolei Swym miłym uśmiechem. Dzieci istotnie należały do Jego ukochań.

O godz. 13-tej pałac napełnił się wojskowymi wszystkich rang i stopni. Po złożeniu Komendantowi życzeń, żołnierze obok generałów, oficerowie po społu z podoficerami obstąpili stoły, zastawione napitkiem, przekąską i wspólnie się raczyli, dopóki wszystkiego nie brakło. A Komendanta porwał gen. Henrys, szef misji wojskowej francuskiej w Polsce, do ostatniego pokoju, skąd wraz z Grabowskim i Michalewskim zmuszony byłem się przenieść.

Co tam robili, nie wiem. Mógłby o tym powiedzieć cośkolwiek dr Piestrzyński, który Komendanta stamtąd wprowadził.

O godz. 14-tej obiad w powiększonym nieco gronie. Poza miejscowymi, byli na obiedzie goście: Belina i Dreszer, był Hempel i wielu innych, których dzisiaj trudno

mi przypomnieć. W miłym nastroju przeciągnął się obiad nieco dłużej. Padały kawały legionowe coraz lepsze, rozległy się śpiewki pierwszobrygadowe. Mruczał je i Komendant, lecz słowa więzły Mu w wąsach i nie dochodziły do uszu nawet najbliższej siedzących.

Wieczorem odbyło się galowe przedstawienie w operze, na którym wystawiono „Hrabinę”. Przed przedstawieniem odśpiewał Gruszczyński przed kurtyną piosenkę Młynarskiego: „Panie Komendancie”.

Pojechałem i ja do teatru. Gdy wyszedłem przed pałac, by wraz z którymś z kolegów wsiąść do jednego z aut, ujrzałem wkraczające z chodnika ulicy na dziedziniec belwederski dwie małe istotki. Dwie małe dziewczynki, biednie ubrane, zapewne dzieci robotnicze, zaleknione, oglądające się niepewnym wzrokiem na wszystkie strony, powoli, powolutku zdążyły do pałacu. W rączkach naprzód sztywno wyciągniętych trzymają dziecińcy laurki wstążką przewiązane. Zdążają złożyć swe życzenia Solenizantowi. Spóźniły się nieco, bo Komendant przed chwilą wyjechał.

Na pewno by je nawet „na wsiadanem” przyjął i wysłuchał ich z serca płynących życzeń. Dziewczątka nie mogły w każdym razie z niczym odejść od wrót pałacu. Zatrzymuję się z wyjazdem, wychodzę dzieciom naprzeciw, wprowadzam je do pałacu i tu informuję, że kilka zaledwie minut się spóźniły i dlatego nie mogą już swych życzeń złożyć bezpośrednio Naczelnikowi Państwa. Przyjmuję od nich laurki i zaznaczam, że będą Solenizantowi przedstawione. Uśmiechnięte i zadowolone opuściły Belweder po złożeniu na piśmie swych życzeń Głowie Państwa dwie proletariackie dziewczynki.

Dzień następny poświęcony był porządkowaniu darów imieninowych, których duża ilość napłynęła ze wszystkich stron kraju, z zagranicy i od wszystkich warstw narodu. Na pamiątkę dnia imieninowego otrzymałem fotografię Komendanta z Jego podpisem i datą: Belweder, 19. III. 1920.

Wojsko na froncie także nie zapominało o Swoim Naczelnym Wodzu. Przysyłali w darze to, na co ich w warunkach frontowych stać było i czym, przypuszczali, serce Komendanta uradować mogli. Między innymi darami kilka lisków małych w prymitywnie skleconych klatkach i niesforny koziołek. Puszczony wolno, hasał i brykał koziołek w belwederskim ogrodzie i bywał często dla gości ogrodowych niegrzeczny. Gdy pewnego dnia spacerowała po ścieżkach ogrodowych jedna z pań, chluba literatury polskiej (Zofia Nałkowska), zaatakował ją nieznośny koziołek zniecka i mógłby jej niechybnie uczynić jakąś krzywdę, gdyby nie interwencja obrońcy w osobie Gada-Dobrodzickiego, który w samą porę znalazł się w pobliżu. Skończyło się na strachu, krzyku i... rozdartej pończoszcze.

W czerwcu 1920 r. wyjeżdżał Komendant samochodem do Zamościa w sprawie organizacji armii konnej przeciw Budionnemu. W pierwszym samochodzie jechał Komendant, bodaj w towarzystwie ppłk. Wieniawy, w drugim dr Piestrzyński, a w trzecim gen. Zieliński, szef sztabu armii Petlury, rotm. Potocki i ja. Samochody marki Cadillac posuwały się przez Warszawę z szybkością do 20 km, poza rogatkami grochowskimi pędziły już na pełnym gazie. Gdy samochód Komendanta zbliżył się do wojskowego posterunku policyjnego (rozmişczzone gęsto w Warszawie miały obowiązek regulować szybkość jazdy samochodów) na odpowiednią odległość, ten skierował broń na „gotuj” i zażądał zatrzymania się. Szofer nie zdecydowany zatrzymał wóz dopiero na zlecenie Komendanta. Teraz dopiero zorientował się posterunek, kogo ma przed sobą. Speszony nieco podbiegł na wezwanie Komendanta do wozu i otrzymał od Niego pochwałę za gorliwe pełnienie służby. „Wodokaczka” (tak wówczas nazywano żołnierzy z Wielkopolski), bo żołnierz pełniący służbę na posterunku okazał się

Wielkopolaninem, był wniebowzięty, poklepał go przecież po ramieniu sam Naczelnik Państwa. Samochody pomknęły teraz już bez przeszkody. Wprawdzie Wieniawa nakażywał zmniejszenie szybkości, ale szofer rozkazu tego nie spełniał, bo Komendant równocześnie aprobował szybkość jazdy krótkim: Niech jedzie!

Przed Lublinem postój i spożycie zimnej kolacji obok samochodów na szosie. Po kolacji Komendant częstował wszystkich w kolejności szarż papierosami z zapasu, który, o ile mnie pamięć nie zawodzi, pochodził z daru wielkiego wezyra tureckiego w ilości 1000 sztuk. Papierosy długie 16 cm nosiły na ustniku napis turecki, o treści: Seraj i kumajun (Zamek królewski). Gdy przyszła kolej na najmłodszego z obecnych, sięgnąłem niedelikatnie pełną garścią po papierosy. Uszczknąłem ich wprawdzie tylko kilka, ale naraziłem się na złośliwe docinki ze strony ppłk. Wieniawy i d-ra Piestrzyńskiego, nawiązujące do mego pochodzenia z I-szej Brygady. Nie bolało mnie to zbyt, chwyt mój bowiem, jako znany Komendantowi z Brygady, był aprobowany przez Niego ojcowskim uśmiechem. Granda ta o tyle na mym honorze nie powinna plamy zostawić, że dwie sztuki z porwanych wtedy papierosów posiadam do dnia dzisiejszego i przekazuję je do muzeum belwederskiego.

Gdy Komendant w decydujących chwilach 1920 r. wyjechał z Warszawy do Puław, by przygotować uderzenie z nad Wieprza, Warszawa żyła w strachu przed wkroczeniem bolszewików do miasta. Za sytuację wojenną na froncie, który zaledwie o kilka, kilkanaście kilometrów od Warszawy się rozciągał, za huk armat, dochodzący do stolicy i przyprawiający niektórych jej mieszkańców o drzenie łydek, przekupki warszawskie czyniły odpowiedzialnym Naczelnika Państwa. Rozlegały się głosy oburzenia różnych paniuś i przekupek na targach, że „Piłsudski sprzedał Warszawę bolszewikom za 2 miliony i uciekł”. Niecne plotki, fabrykowane na użytek partii przez pewne koła, znęcały się najbardziej nad Człowiekiem wtedy, gdy Ten Człowiek najwięcej dawał z Siebie, by tymże plotkarzom spokojny zapewnić nad głową dach, pod którym mogliby nadal bezkarnie Jego dobre imię szargać i mieszać z błotem.

W sierpniu 1920 r. przydzielony byłem do sztabu Komendanta, jako Dowódca Frontu środkowego z kwaterą w Siedlcach. Mieściła się ona w pociągu na dworcu, a sztab urzędował w jednym z pustych domów Siedlec, niedaleko stacji.

Za najlepszy z oddziałów wojskowych w kampanii wojennej w latach: 1918-1920 uważał Komendant 1-szą dywizję Legionów. Można było na niej polegać, była zawsze niezawodna, jak mawiał Komendant. Poza nią najwięcej cenił 14-tą dywizję wielkopolską, 1-szą litewsko-białoruską i 9-tą.

Z kolejnością w ocenie ich wartości Komendant się nie krył. Owszem podkreślał ją przy każdej okazji, wykorzystując to niejednokrotnie dla pobudzenia ambicji w szlachetnej rywalizacji o pierwszeństwo.

W przygotowywanym uderzeniu z nad Wieprza zależało Komendantowi na zaskoczeniu przeciwnika niespodzianą, błyskawiczną akcją. Chcąc skłonić 14-tą dywizję wielkopolską, której w uderzeniu przypadła bardzo odpowiedzialna rola, do jak największego wysiłku, Komendant zaznaczył przy wydawaniu dyspozycji wobec dowódcy tej dywizji, gen. D. Konarzewskiego, że rekord marszowy, jak dotychczas, należy do 1-szej dywizji legionowej na dystansie 80 km ze Zwiahła do Żytomierza. Rekordu tego nikt dotąd nie pobił. Konarzewski, czuły na punkcie wartości swej dywizji, która stale miała ambicję rywalizować o palmę pierwszeństwa z 1-szą legionową, takiego nabrał w marszu na Mińsk Mazowiecki, jak opowiadał Komendant, „szpurta”, że w końcu należało go hamować, by nie wysforował się zbyt przed współdziałające z nim sąsiednie dywizje.



Nie było w tym winy 14-tej dywizji, że rekord marszowy nie został przez nią pobity i pozostał nadal przy 1-szej dywizji legionowej. Komendant był, zdaje się po cichu z tego rad, że Jego „oczko w głowie” w ciągu dalszym zajmuje czołowe miejsce.

Nic w opinii Komendanta nie traci umiłowana dywizja, nawet gdy nie zupełnie jest w porządku. Komendant znajdzie wtedy w postępowaniu jej coś, co Go wzruszy, rozrzewni i przypomni dawne czasy. Przykładem niech służy opowiadanie Komendanta:

Był w czasie wojny bolszewickiej moment, że jednej z armii walczących groził brak amunicji. Armia wysyła alarmujące meldunki do Sztabu Generalnego, Sztab Generalny alarmuje z kolei Ministerstwo Spraw Wojskowych. Jest źle! Minister, w osobie gen. Sosnkowskiego, śle wezwania o nadeślanie amunicji do całej bez mała Europy. Czyni się gwałt w Polsce, gwałt w Europie. Wisi na włosku kryzys ministerialny w Polsce, omal nie kryzys europejski. Bo jednej z armii walczących na froncie może wkrótce braknąć amunicji.

Dowiaduje się o tym 1-sza dywizja legionowa. W obawie, by nie upadł miły jej minister Sosnkowski, zgłasza dyskretnie gotowość „wypożyczenia” potrzebnej ilości amunicji. Kryzys ministerialny w Polsce zażegnany. Europa wróciła do „dolce farniente”, bo armia, potrzebująca amunicji, otrzymała ją w dostatecznej ilości. Pierwsza dywizja legionowa zażegnała w ten sposób kryzys europejski.

Czego ta dywizja zresztą w swych zapasach nie miała! Skarby swe ukrywała przed oczyma niepowołanych w taborach, które, jak Komendant naocznie stwierdził w czasie ofensywy na Grodno, rozciągały się od Augustowa po Grodno w dwóch lub nawet trzech rzędach. Nie mówiąc już o amunicji i drobnym sprzęcie wojennym, skrzętnie były ukrywane w taborze liczne karabiny maszynowe, omal nie armaty. Przyzwyczajenie z czasów legionowych, gdy trzeba było u „sprzymierzeńców” wszystko zdobywać i trzymać na „czarną godzinę”, było silniejsze nad świadomość, że przecież w innych zgoła warunkach teraz pracowała.

Z chwilą podpisania warunków o zawieszeniu broni wyjazdy Komendanta na front ustały. Otoczenie Naczelnika Państwa zaczęło gwałtownym ulegać zmianom.

Jedni z oficerów przechodzili do rezerwy i obejmowali stanowiska cywilne, inni odchodzili do szkół wojskowych. Każdego ze Swych oficerów Komendant bądź żegnał, bądź na pożegnanie dawał jakiś dowód Swojej pamięci.

Zresztą nie tylko na pożegnanie Komendant pamiętał o Swych oficerach. Starał się im okazać życzliwość przy każdej sposobności, a zwłaszcza rodzinnych uroczystości. Stąd też pochodzi, że bywał częstym ojcem chrzestnym dzieci Swych oficerów. Trzymał do chrztu, o ile mnie pamięć nie zawodzi, dzieci pp. Mozołowskich, Sokołowskich i Nałęcz-Korzeniowskich. Był obecny na ślubie pp. Czerniawskich i serdecznie składał im życzenia.

W październiku 1920 r. odchodził z Adiutantury por. Tadeusz Kobyłański bodaj na studia do szkoły wojskowej we Francji. W kolacji, wydanej na jego pożegnanie, wziął udział Komendant i nawet wychylił na powodzenie Kobyłańskiego pół kieliszka wódki. Mimo pożegnania, nastrój nie był bynajmniej pogrzebowy. Sypały się dowcipy i żarty, a prym, jak zwykle, dzierzył ppłk. Wieniawa. Gdy w rozmowie poruszono potrzebę utworzenia dla upamiętnienia zakończenia wojny jakiejś odznaki dla ochotników 1920 r., Wieniawa z powagą opisuje wyobrażany przez siebie projekt odznaki i proponuje umieszczenie na niej napisu: „Stanął w potrzebie!” Projekt Wieniawy wywołał oczywiście powszechną wesołość i chociaż napis został ogólnie aprobowany, to jednak, o ile mi wiadomo, odznaka z takim napisem nie ukazała się.

Natomiast ufundowaną została odznaka dla oficerów Adiutantury Generalnej w formie bransoletki z oksydowanego srebra, wyobrażającej łańcuch-kajdanki, do noszenia na lewej ręce. W ogniwka łańcucha włączona została tarcza z podobizną Komendanta; ponad tarczą wystają główce skrzyżowanych buław. Po stronie wewnętrznej tarczy wyryte imię, nazwisko właściciela oraz data przydziału do Adiutantury Generalnej. Bransoletkę projektował Zygmunt Grabowski, wykonał zaś zakład jubilerski Wabia – Wabińskiego.

Pod koniec mego w Belwederze pobytu, wczesną wiosną 1921 r. zgłosił się w pałacu ubrany odświętnie w regionalny strój wiejski, z koszykiem w rękę, w którym znajdowało się przygotowane na drogę pożywienie, chłop spod Miechowa, życzeniem jego było dostać się do Naczelnika Państwa. Niestety! Adiutantura przyboczna, jak każda zresztą adiutantura zwykła takich klientów traktować, nie zachwycała się prośbą petenta i była na najlepszej do tego drodze, by go „spławić”.

Ale kmięć miał szczęście. Przed opuszczeniem pałacu natknął się na mjra Macieszę, na mnie i, zdaje się, jeszcze jednego z oficerów adiutantury. Zapytany, z jakim interesem przybył do Belwederu, objaśnił nas, że chciał osobiście prosić Naczelnika Państwa o zwolnienie syna z wojska. Ponieważ w rozmowie wykazał dużo inteligencji, przeto powstała myśl, by mu ułatwić audiencję. Spodziewaliśmy się, że Komendant może być zadowolony z takiej wizyty, bo da mu ona możliwość zetknięcia się bezpośrednio z przedstawicielem ludu polskiego.

Zwróciliśmy się wobec tego do najstarszego z obecnych, mjra Macieszy, by zechciał ułatwić kmięciowi upragnioną wizytę. Było to na krótko przed obiadem, a więc w czasie, gdy Komendant mógł rozporządzać wolną chwilą. Maciesza zdołał surowemu adiutantowi dyżurnemu jakoś wytłumaczyć jego skrupuły i nasz protegowany wprowadzony został wraz z nieodłącznym koszykiem przed oblicze Głowy Państwa.

Wizyta trwała nie krócej niż 15 minut. Obydwie strony: tak Komendant, jak gość spod Miechowa byli sobą wzajemnie zachwyceni. Po rozmowie chłop z szeroko uśmiechniętą twarzą, zadowolony i dumny z osiągniętego celu podróży, zeszedł powoli, ostrożnie po schodach na dół i dziękował wszystkim w koło za ułatwienie mu audiencji, wyrażając się przy tym z wielkim zachwytem o Osobie Naczelnika Państwa. Zawsze z koszykiem, którego na chwilę z rąk nie wypuścił, z papierosem, zatknętym za ucho (był nie palącym), okręcił się kmięć w hollu kilka razy w koło, zanim znalazł wyjście, i opuścił Belweder. Z drogi jeszcze oglądał się na pozostawiony za sobą pałac.

Bezpośrednio po tej niecodziennej audiencji zeszedł Komendant na obiad. Zaledwie usiedliśmy do stołu, już Komendant dał wyraz Swemu zadowoleniu z przeprowadzonej przed chwilą z wieśniakiem rozmowy. Chłop zwrócił się do Komendanta z prośbą o zwolnienie syna z wojska i na poparcie swej prośby przytaczał ważkie i przekonujące argumenty. Gdy w czasie odwrotu naszych wojsk w 1920 r. trzeba było użyć wszelkich sił ludzkich do ratowania państwa przed zalewem bolszewickim, ojciec był zdania, że i jego jedyny syn, wyrostek wiejski, mógłby już karabin udźwignąć. Wobec tego wsadził syna na wóz i zawiózł do miasta, by się zameldował na ochotnika do wojska. Przyjęty do służby, wojował syn, jako ochotnik, aż do zakończenia wojny. Skoro się wojna skończyła i państwo go już nie potrzebuje, to szkoda, by darmo chleb w wojsku zjadał i najwyższy czas, by nie tracąc czasu w wojsku, wracał chłopak natychmiast do domu, gdzie czeka go dużo roboty wiosennej na roli. Rozumowanie słuszne. Prośbie patriotycznego chłopca polskiego nie sposób było odmówić. Mimo

że demobilizacja nie została jeszcze rozpoczęta, Komendant wydał polecenie natychmiastowego zwolnienia wiejskiego ochotnika z wojska.

Zdarzenie wyżej opisane przypomina mi podobną audiencję, jakiej udzielił Komendant na rok przed tym delegacji chłopów białoruskich. Przyjechali do Warszawy z dalekich Kresów, by złożyć w Belwederze hołd Głowie Państwa Polskiego – Naczelnikowi Państwa. Trafili nieszczęśliwie, bo przeziębiony, z wysoką gorączką, Komendant zmuszony był leżeć w łóżku. Gdy delegacja z kwitkiem miała odejść, bo ją do łóżka Chorego adiutantura przyboczna dopuścić się wzdragała, pomogła dopiero osobista decyzja Komendanta, którego bodaj Wieniawa o przybyciu delegacji poinformował.

Chłopi wprowadzeni zostali do pokoju, w którym leżał chory Komendant. Wszystkich po kolei przywitał podaniem ręki, poprosił usiąść i poczęstował papierosami. Ośmieleni serdecznym i prostym przyjęciem ze strony Naczelnika Państwa, zajęli goście krzesła, ustawione półkolem przy łóżku, i rozpoczęła się pogadanka. Przeciągnęła się dość długo, a gdy goście wyszli, nie mieli dość słów zachwytu dla polskiego „Cara”.

W lutym 1921 złożyłem równocześnie z Kaweckim i Dziurzyńskim podanie o zwolnienie z wojska i przeniesienie mnie do rezerwy. Mimo że kilka miesięcy przedtem stawałem do raportu karnego (skończył się ku obopólnemu zadowoleniu i bezboleśnie), nakłaniał mnie ppłk. Wieniawa do pozostania w wojsku, major Maciesza zaś proponował mi przydział u siebie w Biurze Kapituły *Virtuti Militari*. Gdy jednakże upierałem się przy zwolnieniu, ppłk. Wieniawa podanie moje przedstawił Komendantowi, który na nim nakreślił słowo: zgadzam się. Formalności ze zwolnieniem potrwały jeszcze do maja 1921 r.

W tym miesiącu dopiero opuściłem po 7-miu latach służby wojsko i Belweder, unosząc wraz z sobą drugą fotografię Komendanta, dedykowaną mi przez Niego na pożegnanie w słowach: „Dla ppor. Pudętki J. Piłsudski. Belweder, 2 III 1921 r.”.

Koledzy naigrawali się ze mnie, twierdząc, że powinienem zdjąć jedną gwiazdkę i ze stopnia porucznika, uzyskanego w maju 1920 r., wrócić do szarzy podporucznika. Gdyby taką omyłkę popełnił car, byłbym oczywiście zmuszony jedną gwiazdkę z naramiennika odpruć. Ponieważ jednak omyłkę popełnił Naczelnik Państwa w demokratycznej Rzeczypospolitej, mogłem spokojnie odejść w stopniu porucznika rezerwy do państwowej służby cywilnej.

## 2. Minister Patek i jego imiennik

W początkach 1920 r. mianowany został ministrem spraw zagranicznych p. Stanisław Patek. Z racji swego stanowiska oraz nawiązania w okresie jego urzędowania w pałacu Brühlowskim rokowań z bolszewikami, p. Patek był częstym w tym czasie gościem Belwederu i jego mieszkańca, Naczelnika Państwa.

Było zwyczajem w Belwederze, że awizowany na audiencję u Naczelnika Państwa dygnitarz państwowy, zresztą jak i inni goście, zapisywał się w pokoju przed wejściem do adiutantury przybocznej do księgi, prowadzonej przez dyżurnego podoficera. Jedynym bodaj wyjątkiem był gen. Sosnkowski, który miał zawsze wolny i otwarty dostęp do Komendanta.

Otóż gdy Minister Patek po raz pierwszy przybył do Belwederu, zagadnięty został grzecznie przez dyżurnego plutonowego:

- Jak godność Szanownego Pana? Skromny i prosty w obejściu, jak zwykle, Minister Patek, przedstawia się:
- Jestem Patek!

Słowa te wywołują u podoficera zadowolenie, a jego usta, szerokie od uśmiechu, wyrzucają szybko:

– A ja jestem Patyczek!

Minister Patek znalazł – zdrobniałego imiennika. Cieszył się z tego niespodziewanego pokrewieństwa i z dużym zadowoleniem opowiadał później o swej wówczas prezentacji w belwederskim pałacu.

### 3. Koalicyjna rana

Bezpośrednio po zdobyciu Dyneburga przez grupę Śmigłego, w styczniu 1920 r. wyjechał do tego miasta Naczelnik Państwa.

Po kilku dniach wrócił z podróży wesoły i w wyśmienitym humorze do Warszawy. Opowiadaniom, śmiechom i wspomnieniom z tego krótkiego w Dyneburgu pobytu nie było końca. W czasie obiadu, tak komendant, jak i ci z oficerów, którzy Mu w podróży towarzyszyli, mieli dużo do opowiadania na przestrzeni tygodnia.

We wspomnieniach tych powtarzało się często słowo: koalicja, które wywoływało u Komendanta wyjątkową wesołość i wybuchy śmiechu. Był widocznie z tym słowem związany jakiś „kawał”, którego na razie nie można było się domyśleć z urywkowych powiedzeń.

Zdobycie Dyneburga nie obeszło się bez wielu ofiar w zabitych i rannych, a szpitale miejscowe były wypełnione rannymi żołnierzami. Jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz, postanowił Komendant odwiedzić rannych w jednym ze szpitali, na którego czele stał lekarz, pochodzący z b. armii rosyjskiej. Gdy się o zamierzonej wizycie dowiedział, narobił w szpitalu piekła, postawił cały personel szpitalny na nogi, nakazał mu zaprowadzić jak największy porządek i pouczył rannych, jak się mają wobec Naczelnika Państwa zachować, gdy się pokaże. Sam wszystkiego doglądał i sprawdzał wypełnienie rozkazów.

Nie przejmowali się tą wizytą jedynie ranni z 1-szej dywizji legionowej, wśród których spora była ilość dawnych legionistów. Zgorszony ich niefrasobliwością, lekarz drżał o to, by przypadkiem przez nieodpowiednie zachowanie ludzie ci mu nie zaszkodzili.

Nadszedł Komendant w asyście licznej świty. Melduje się Mu błady ze wzruszenia komendant szpitala i wprowadza do wnętrza. Salę po sali przechodzi Naczelnik Państwa, zatrzymuje się przed każdym łóżkiem, pyta rannych o pułk, do którego należą, szarżę i ranę. Od łóżka do łóżka posuwa się dalej. Wszystko dotąd, dzięki Bogu, w porządku – wzdycha w duszy komendant szpitala i prosi Boga, by tylko tak dalej było.

Znienacka pęka bomba!

Komendant staje przed jednym z łóżek, na którym leży ranny żołnierz. Pada pytanie:

– Z którego jesteście pułku?

– Z piątego, Obywatelu Komendancie! – brzmi odpowiedź.

Komendant szpitala błędnie i czerwienieje na przemian ze strachu, bo żołnierz śmie Naczelnika Państwa nazwać obywatelem komendantem. Nie przeszło mu jeszcze zmartwienie z tego powodu, gdy ciąg dalszy rozmowy sprawia mu o wiele więcej jeszcze kłopotu.

– Gdzieście ranny?

– W koalicję, Obywatelu Komendancie!

– A gdzie Wy macie tę koalicję? – pyta zaintrygowany i przygotowany już na jakiś kawał Komendant, bo z odpowiedzi rannego zorientował się, że ma do czynienia

z byłym legionistą. Ranny wymownym gestem palca wskazuje na część ciała, służącą normalnie do siedzenia, o ile ktoś nie jest w nią ranny.

Na ten niemy znak wybucha Komendant wraz z otoczeniem huraganowym śmiechem i kończy na tym wizytację.

Komendant szpitala zadowolony z tego, że sytuacja, groźnie się zapowiadając, tak wesoło się skończyła, odprowadził dostojnego gościa do wyjścia i z ulgą wrócił do swych obowiązków.

Wiele jeszcze razy wspominał Komendant o tym wówczas istotnie aktualnym i dobrym kawale. Autor kawału jest chorążym 5 p. p. Leg. w stanie spoczynku.

#### 4. Komendant a słynna ustawa sierpniowa

W czasie jednego z nocnych dyżurów w 1920 r. wezwany zostałem przez dyżurnego urzędnika wojskowego do aparatu Hughes'a celem przeprowadzenia pilnej rozmowy. Mogła być godzina 2-ga lub 3-cia po północy. Zwracał się kardynał ks. Dalbor, a następnie prezydent Poznania, p. Drwęski, a bodaj i Minister b. Dzielnicy Pruskiej, p. Kucharski do Naczelnika Państwa z prośbą o ułaskawienie skazanego tego dnia wieczorem ppor. N. N. na śmierć przez rozstrzelanie za sprzeniewierzenie podków końskich, których wartość oceniona została przez rzeczoznawców na przeszło 2000 mk. Ponieważ podsądny ma być o wczesnej godzinie rannej rozstrzelany, przeto petenci proszą o natychmiastową decyzję. Prosiłem rozmówców o zaczekanie przy aparacie, sam zaś, wzięwszy naklejoną na blankiecie rozmowę, skierowałem się po schodkach, którymi miał w 1830 r. uciekać W. Ks. Konstancy, na I-sze piętro pałacu belwederskiego – do sypialni Naczelnika Państwa. Komendant, który położył się koło godz. 1-szej, spał już w najlepsze pierwszym, twardym snem. To też z pewnym ociąganiem przystąpiłem do spełnienia obowiązku. Zapaliłem lampkę na nocnym stoliku i szeptem zwracam się do śpiącego Naczelnika Państwa:

– Komendancie!

i po chwili drugi raz głośniej: – Komendancie!

a gdy i to nie pomaga, lekko szarpnię za rękaw nocnej koszuli.

Komendant się budzi, przeciera oczy, na pół przysiadła i od razu przytomnie pyta:

– Co macie do powiedzenia?

Referuję krótko:

— W Poznaniu został ppor. NN. skazany wieczorem przez sąd połowy na śmierć przez rozstrzelanie za sprzeniewierzenie podków końskich wartości ponad 2000 mk. Wyrok ma być nad ranem wykonany. Prymas, kardynał ks. Dalbor, prezydent Drwęski i Minister Kucharski proszą o ułaskawienie podsądnego i oczekują na decyzję przy aparacie.

Z uwagą wysłuchał Komendant meldunku i krótko odpowiada:

– Nie!

Pospieszyłem z odpowiedzią: Naczelnik Państwa odmówił ułaskawienia skazanego.

Następnego dnia zameldowałem o tej sprawie bezpośrednim władzom przełożonym. Fakt odmówienia łaski na interwencję tak wpływowych osób w Poznaniu i b. Dzielnicy Pruskiej, jak kardynał Dalbor i prezydent miasta Drwęski, wzburzył mocno umysły otoczenia Naczelnika Państwa.

Przy obiedzie wywiązała się na ten temat rozmowa, w której ś.p. kpt. Nałęcz-Korzeniowski w słówkach jak najbardziej oględnych starał się zwrócić Komendantowi uwagę na to, że ułaskawienie oficera mogłoby zjednać Mu wpływowych w Poznaniu ludzi, wrogo dotąd się odnoszących.

Naczelnik Państwa zmarszczył groźnie brwi i spod nastroszonych wąsów, zagniewany, rzucił:

– Nałęcz, Wy wiecie, jak Was lubię! Otóż gdyby chodziło o ułaskawienie nie kogoś innego, jak Was, to zaręczam, żebym Was także nie ułaskawił. Nie może być litości dla złodziejów dobra publicznego w Polsce. Na to ustawa o karaniu takich, przestępstw ukazała się, by ją ściśle wypełniać i wypenić w państwie złodziejstwo.

Istotnie nie zdarzyło się, by ktokolwiek, skazany na zasadzie słynnej w 1920 r. „sierpniówki” (ustawy sierpniowej o karaniu przestępstw sprzeniewierzenia dobra publicznego wartości ponad 2000 mk) został przez Naczelnika Państwa ułaskawiony. Ustawa ściśle była wykonywana, bo na straży jej stał Naczelnik Państwa oraz Minister Spraw Wojskowych, gen. Sosnkowski, który był jej inicjatorem.

## 5. Co powiedział Komendant o VI-tym baonie

We wrześniu 1920 r. po zwycięskim odparciu bolszewików spod Warszawy i odepchnięciu ich poza linię Buga, Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz, Komendant Józef Piłsudski wyjeżdżał na odprawę dowódców armii do Brześcia nad Bugiem.

Towarzyszili Komendantowi w tej podróży: ś.p. gen. Tadeusz Rozwadowski, ówczesny Szef Sztabu Generalnego, płk. Szt. Gen. Tadeusz Piskor, ówczesny Szef Oddziału III-go (Operacyjnego) Naczelnego Dowództwa, ś.p. Julian Stachiewicz, ś.p. kpt. Andrzej Nałęcz-Korzeniowski i porucznik Jan Pudełek z Kancelarii Wojskowej Naczelnika Państwa.

W chwili, gdy pociąg ruszył punktualnie o godz. 0.05 z dworca głównego (stała godzina wyjazdów Naczelnego Wodza na front), Komendant przeszedł z wagonu salonowego wraz z gen. Rozwadowskim do wagonu restauracyjnego, w którym przy herbacie zgromadzeni byli towarzyszący Mu oficerowie.

W świetnym humorze, zresztą jak zwykle, gdy opuszczał Warszawę i wyjeżdżał na front, opowiadał Komendant gen. Rozwadowskiemu jeden z „kawałów” legionowych z życia VI-go baonu I-szej Brygady Leg. Pol.

Jesienią 1915 r., – opowiada Komendant, – I-sza Brygada była rozparcelowana na dwie grupy, z których jedną w składzie I p.p. oraz V i VI baony I-szej Brygady pod Czartoryskiem dowodził początkowo Śmigły, a następnie Sosnkowski po powrocie z delegacji, drugą w składzie 4 i 5 p.p. dowodziłem ja pod Kołkami. Rozdzielane oddziały I-szej Brygady ciężko oczywiście ku sobie i dokładały wszelkich starań, by jak najprędzej się połączyć. Udało się to dopiero późną jesienią. Oddziały I-szej Brygady pod Szefem otrzymały rozkaz dołączenia do mojej grupy pod Kołkami.

Przed przemarszem oddziałów Sosnkowskiego nawiązałem kontakt z Komendą Placu w Korkach i po długich targach uzyskałem przydział kwater dla jednego batalionu. Więcej zdobyć nie mogłem, na Polesiu bowiem, jak wiadomo, był duży brak kwater z powodu rzadkości osiedli. Kwatery te przeznaczyłem dla najbardziej zmęczonego i wyczerpanego wskutek ostatnich, ciągłych i ciężkich walk baonu VI-go. O decyzji tej zawiadomiłem komendanta baonu, Fleszara i poleciłem mu zająć kwatery, po uprzednim porozumieniu się z komendą placu.

Wśród deszczu i śniegu, w błocie po kostki, maszerował baon do Kołek, żołnierze wyczerpani dotychczasowymi bojami, przemoknięci, obłoceni, wygłodzeni, zmęczeni ciężkim i długim marszem, z trudem dobrnęli do Kołek. Kolumna zatrzymała się na ulicy między domami, przeznaczonymi na kwatery dla VI-go baonu, a zajęte przez Austriaków i Niemców, którzy wzdrali się opuścić te domy. Wobec tego komendant

baonu odjechał do komendy placu, by zgodnie z moim rozkazem porozumieć się co do kwater.

Żołnierze, pozostawieni w kolumnie czwórkowej w błocie, na śniegu i deszczu, cierpliwie oczekują na powrót swego komendanta. W pewnym momencie, gdy czekanie przedłużało się, nakładają bagnet na karabin kolumna łamie się i jedne dwójki atakują zakwaterowanych z jednej strony Austriaków, a drugie Niemców, zakwaterowanych po przeciwnej stronie ulicy. Zgiełk, hałas, krzyki i baon jest zakwaterowany, nim komendant baonu zdążył wrócić z komendy placu. Żołnierze nie zapomnieli przy tym o wygodnej i jak najładniejszej w tamtych warunkach kwaterze dla komendanta baonu.

Ponieważ przy tym sposobie zakwaterowania nie obeszło się bez użycia broni, przeto nic dziwnego, że między napadniętymi była spora ilość poturbowanych i kilku rannych. Ucierpieli zwłaszcza Austriacy.

Nie ulega wątpliwości, że nie mogłem – opowiada dalej Komendant, – przejść nad tym zajściem do porządku dziennego i zmuszony byłem zrobić batalionowi wymówkę. Sprawy to jednak nie wyczerpało. Za ten, tak rzadko praktykowany, system obejmowania kwater, zwłaszcza od „sprzymierzeńców”, należała się tym „sprzymierzeńcom” jakaś satysfakcja – dodaje z humorem Komendant.

To też wybrałem się z wizytą, najpierw do komendanta odcinka austriackiego, pułkownika artylerii Polaka, by za incydent, spowodowany przez moich żołnierzy, wyrazić mu ubolewanie. Pan pułkownik wprawdzie wyraził ubolewanie przyjął, ale zaznaczył przy tym, że jest mu z powodu zajścia niezmiernie przykro, że nie tylko żołnierze, ale i oficerowie zostali mocno poturbowani, że w końcu będzie się starał cały konflikt załagodzić i wpłynąć na poszkodowanych oficerów, by nie dochodzili swych pretensyj.

Zgoła inaczej – snuje ciekawe opowiadanie Komendant, – wypadła wizyta u miejscowego dygnitarza niemieckiego, w stopniu generała (Hulsen?). Skoro adiutant zameldował mnie generałowi, ten, nie czekając wejścia, wyszedł mi naprzeciw i w tonie bardzo uprzejmym pyta: „Czemu mogę zawdzięczać, że mam honor dzisiaj Pana u siebie powitać? Od dawna byłem ciekaw Pana poznać, ale o to trudno, bo Pan nas unika”. Czułości Pana generała przerywam i oświadczam: „Niestety, przybyłem w przykłej sprawie, mianowicie wyrazić Panu ubolewanie z powodu poturbowania przez moich żołnierzy Pana podkomendnych i przeprosić Go za ich niekarne zachowanie”. Generał, doskonale, jak się następnie okazało, poinformowany o incydencie, przerywa moje przemówienie i krótko rzecz załatwia: „Aber das macht nichts!” („Ależ to nic nie znaczy!”). „Myśmy dotychczas innych (czytaj: Austriaków) z kwater wyrzucali, a teraz znaleźli się od nas lepsi. Tak, to nic nie znaczy, zwłaszcza że to zrobili „Sieger von Kukle” (zwycięzcy spod Kukli), zakończył generał i krótko, po żołniersku sprawę zlikwidował.

Tu trzeba zaznaczyć, że przed kilku tygodniami batalion VI-ty zdobył w brawurowym szturmie kluczową pozycję pod wsią Kukle, wzięł do niewoli kilka setek jeńców i odbił z niewoli zagarnięty przez Moskali 95 pułk austriacki. Dla uczczenia batalionu za ten wyczyn Niemcy na froncie armii Linsingena wzniesli trzykrotny okrzyk: „Hoch Polon!” (Niech żyją Polacy!).

Na tym też zakończona została sprawa zbrojnego objęcia kwater w Kołkach przez VI-ty baon.

Ale co też to był za batalion! – kończy Komendant. Przyszedł do Brygady ostatni, żołnierze mieli jeszcze czarno-żółte opaski austriackie na ramionach. Z początku bojo-

wo słaby, w krótkim czasie tak się wyrobił, że był jednym z najlepszych w Brygadzie. Do końca jednak istnienia batalionu żołnierze grzeszyli nie przebierającym w słowach językiem, którym zresztą „zarazili” całą moją Brygadę. W skład baonu wchodziłi żołnierze, pochodzący z Rzeszowa i okolic, Krosna, kompania wiedeńska, robotnicy z Łodzi, Zagłębia i Częstochowy, „batiary” ze Lwowa, robotnicy z Lublina i grupa młodzieży inteligentnej.

– Komendancie! Ja należałem, muszę się zastrzec, do tej ostatniej grupy! – wyrzynam się ni stąd, ni zowąd, jak przysłowiowy Filip z Konopi.

– Stanowczo protestuję! – przerywa mi kpt. Nałęcz-Korzeniowski. Znając Pudełka, nie mogę się zgodzić na zaliczenie go do grupy młodzieży inteligentnej. Może być batiarem ze Lwowa.

– Zgodzę się być i w tej grupie, ale w Waszym, kapitanie, towarzystwie – odciąłem się, jak umiałem. Komendant serdecznie się cieszył z tej utarczki słownej i z roześmianą twarzą, po dopiciu herbaty i pożegnaniu się z wszystkimi, udał się do swej „salonki”, by wczesnym rankiem stanąć w Brześciu nad Bugiem.



Rys. Zygmunt Grabowski



## Postać Autora we wspomnieniu córki

Ojciec mój Jan Pudełek, urodził się 15 maja 1894 roku w Sokołowie Małopolskim, starym miasteczku w okolicach Rzeszowa. Wedle rodzinnej tradycji protoplastami „rodu” byli jeńcy tatarscy, których osiedlono w Sokołowie po wojnie 1241 roku, tej od bitwy pod Legnicą i przerwania hejnału krakowskiego. Nie raz żartowaliśmy na ten temat, gdy jednak przypatrzyłam się układowi kości Jego czaszki, kiedy wychudzony leżał na swym śmiertelnym łożu, pomyślałam, że jednak w tej legendzie może być ziarno prawdy. Jakkolwiek było – Sokołów w okresie pojawienia się mego Ojca na świecie, był miasteczkiem, w którym harmonijnie współżyła społeczność polska i żydowska, społeczność o silnych tendencjach patriotycznych i wciąż żywej pamięci Powstania Styczniowego.

Ta patriotyczna atmosfera towarzyszyła mojemu Ojcu również w klasycznym gimnazjum rzeszowskim, do którego rodzice wysłali kosztem wielkich osobistych wyrzeczeń. Opuścił tę szkołę w roku 1912 jako rasowy, wszechstronnie wykształcony humanista, miłośnik języka polskiego, literatury i historii. Chciał studiować medycynę na Uniwersytecie Lwowskim. Musiał się jednak liczyć z koniecznością zarabiania na studia – medycyna nie pozostawiała koniecznego marginesu czasowego. Wybrał więc prawo, co pozwoliło Mu nie tylko zdobywać środki do życia udzielaniem korepetycji, ale i brać udział w zajęciach Związku Strzeleckiego.

Pominę tu okres 1914-1921, gdyż tę epokę swojego życia sam lepiej opisał w swoim pamiętniku. Po opuszczeniu Belwederu pracował przez krótki czas w Ministerstwie Opieki Społecznej, potem przeniósł się do PKO, gdzie w ciągu wielu lat był naczelnikiem Wydziału Nieruchomości. Chciał dokończyć studia, ale nie mógł sobie na to pozwolić ze względów finansowych, albowiem wkrótce spotkał moją przyszłą Matkę i poślubił Ją w 1922 roku. Odtąd dzielił swój czas między pracę, dom i działalność społeczną w Związku Legionistów Polskich.

Przez wiele lat był skarbnikiem koła legionistów VI Baonu. Nie należał do żadnej partii, nie brał czynnego udziału w życiu politycznym, choć żywo się nim interesował i był dobrze zorientowany we wszystkim, co się w kraju działo, dzięki swoim legionowym kontaktom. Dużo czasu poświęcał swoim zamiłowaniom. Był wytrawnym bibliofilem i stałym gościem wystaw studenckich w Akademii Sztuk Pięknych, gdzie trafnie wybierał prace studentów. Dzięki temu na ścianach naszego mieszkania można było oglądać obrazy i grafiki wielu późniejszych znakomitości.

Zmobilizowany we wrześniu 1939 roku wyruszył w pogoń za swoim oddziałem, gdy jednak ta pogoń okazała się bezskuteczna, powrócił do Warszawy i podjął swoją pracę w PKO. Zanim zdążył się zaangażować w jakąś działalność podziemną, został aresztowany w czerwcu 1940 roku wraz z całą grupą legionów z VI baonu. Był to, wstyd powiedzieć, wynik donosu kogoś z tego środowiska. Wywieziony na przymusowe roboty w okolice dzisiejszego Goleniowa, wrócił po przeszło roku wyreklamowany przez moją Matkę. Obawiając się inwigilacji nie zaangażował się czynnie w podziemną robotę, choć przez nasz dom wciąż przewijali się ludzie potrzebujący schronienia, czy Jego koledzy-działacze. Jednym z najczęstszych gości był płk Iranek-Osmecki. W roku 1945 powrócił do Warszawy (w kilka dni po tzw. wyzwoleniu) i natychmiast zgłosił się do pracy w PKO. W najtrudniejszym okresie organizował od podstaw swój dział i prowadził go z powodzeniem aż do 1950 roku, gdy został zwolniony z wilczym biletem za swoją legionową przeszłość. Przez prawie dwa lata nie mógł dostać żadnej pracy. Dopiero później zdołał zacząć się w spółdzielczości branży stolarskiej i pracował tam do śmierci. Zmarł 9 lipca 1964 roku. Postawiliśmy – Matka i ja – na

Jego grobie krzyż o kształcie wzorowanym na krzyżu legionowym, a na tablicy pod imieniem, nazwiskiem i datami życia kazałyśmy uwiecznić wiadomość o tym, co tak cenili sobie w życiu najwyżej: „żołnierz VI Baonu I Brygady Legionów Polskich”.

Był człowiekiem prawym, uczynnym, obdarzonym bystrą inteligencją i błyskotliwym poczuciem humoru. Miał talent gromadzenia wokół siebie ludzi z różnych środowisk i zachował go do końca. Toteż przez nasz dom przewijali się stale legionieści, prości robotnicy, z którymi pracował w Goleniowie, Jego podwładni z PKO itd. itd. Po nastaniu PRL-u załamał się. Zapodział się gdzieś Jego humor, zanikła wesołość i towarzyskość. Odcinał się od otaczającej go rzeczywistości jak tylko mógł, uciekał w świat książek, spisywanych wspomnień z pobytu w Niemczech itp. Stracił chęć do życia, ożywał się tylko w chwilach, gdy wspominał dawne, legionowe czasy, gdy porządkował ocalałe przypadkowo resztki swego dużego archiwum legionowego.

Jego wspomnienia stanowiły pewien rodzaj hołdu dla świeżo zmarłego ukochanego Komendanta. Brał udział we mszy za Jego duszę w katedrze, szedł za Jego trumną w pochodzie z katedry Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem i Ujazdowskimi, towarzyszył Jego trumnie w podróży do Krakowa, uczestniczył w pogrzebie na Wawelu, usypał kopiec Jego imienia. Zaprowadził mnie do Muzeum w Belwederze zaraz po jego otwarciu. W tym czasie właśnie zrodził się pomysł, żeby spisać wszystko, co pamiętał. Miał ku temu realne podstawy, gdyż na bieżąco zapisywał, co działo się w Jego otoczeniu, a jako zapalony foto-amator zgromadził ogromną ilość oryginalnej dokumentacji fotograficznej. A że przyjaźnił się z cenionym wówczas portrecistą, autorem znanego portretu Komendanta na Kasztance, Zygmuntem Grabowskim, otrzymał od niego szkice piórkiem, narysowane specjalnie dla Jego pamiętnika.

Nie miał ambicji opisywania tematów wielkich. Należał do szarej masy legionowej i swoje pisanie postanowił poświęcić tej masie i jej codziennym sprawom. Podobnie w Belwederze. Interesowały go drobne sprawy codzienne, Komendant w swej ludzkiej, codziennej postaci. Jeśli do tego dodać Ojcowe poczucie humoru i wrażliwość na różne drobne z pozoru ludzkie sprawy, spod Jego pióra wyszła bezpretensjonalna opowieść o codzienności Legionów i codzienności Belwederu, o śmiesznościach i wzruszających epizodach tak często lekceważonych przez pamiętnikarzy, ozdobiona Jego własnymi fotografiami i uroczymi rysunkami Grabowskiego.

Książka ukazała się na rynku pod koniec 1938 roku. Pamiętam wystawę księgarni wojskowej w domu „bez kantów” na Krakowskim Przedmieściu, udekorowaną w całości Jego książką. Nakład nie został rozsprzedany do wybuchu wojny i kilkaset pozostałych egzemplarzy wylądowało w stosach w kącie jednego z naszych pokoi oczekując lepszych czasów. Los chciał inaczej. Cały ten nakład wraz z naszym dobytkiem poległ oczywiście w Powstania Warszawskim. Dopiero po wojnie przyjaciele ofiarowali Ojcu dwa ocalałe u nich egzemplarze.

I jeszcze jedno. Życie dopisało pierwszej edycji Ojcowych wspomnień niecodzienny epilog, związany z aresztowaniem Ojca w 1940 roku. W dniu aresztowania – miało to miejsce rano, w PKO – pojawił się w naszym domu hitlerowski oficer na rewizję. Zachowywał się wyjątkowo kulturalnie nie krzycząc, nie wywalając wszystkich rzeczy na ziemię. Oczywiście stos egzemplarzy jednej książki w kącie pokoju nie mógł nie przyciągnąć jego uwagi. Gdy dowiedział się, że są to wspomnienia z I wojny światowej, poprosił – tak poprosił – o jeden egzemplarz. Mój Ojciec nic o tym oczywiście nie wiedział. Toteż ogromnie się zdziwił, gdy ten sam oficer podczas jednego z przesłuchań na Szucha uczynił aluzję do faktu, że obaj byli żołnierzami w jednej armii (chodziło oczywiście o włoski epizod Ojcowej kariery wojskowej, który przeżył

jako poddany austriacki po kryzysie przysięgowym) i nie bardzo rozumiał, co to miało oznaczać. Przesłuchania trwały ponad miesiąc, toteż Ojciec zdołał wyrobić sobie kontakty wśród strażników Pawiaka. Został więc na czas uprzedzony, że jego nazwisko znajduje się na liście najbliższego transportu na przymusowe roboty do Niemiec. Zaprzyjaźniony strażnik proponował mu sposób wymigania się z tego transportu. Ojciec po namyśle postanowił jednak jechać. Gdy po powrocie z Niemiec rodzice zaprosili owego strażnika na dziękczynną kolację, dowiedzieli się, że w tydzień po wyjeździe Ojca Jego nazwisko znalazło się na pierwszej liście więźniów przeznaczonych do Oświęcimia. Gdy później Ojciec uporządkował wszystkie elementy tej wojennej układanki, doszedł do wniosku, że ten hitlerowski oficer musiał być Austriakiem i dowiedziawszy się, że ma do czynienia z kolegą-żołnierzem, zrobił co było w jego mocy, by Ojca ocalić. Nie mógł go uwolnić, wysłał Go więc do Niemiec zamiast do Oświęcimia. Pamiętnik ocalił więc Ojcu życie, zanim sam poległ w Powstaniu Warszawskim.

Janina Pudętek



Rys. Zygmunt Grabowski